

## Władysław Zambrzycki – *Zagubiony narożnik*

„Stolica”

nr 16 z kwietnia 1960 r.

Nawet ślad nie pozostał po wielkim przedsięwzięciu gastronomicznym przy zbiegu Alej Jerozolimskich z Nowym Światem. Znikł cały narożnik, zdmuchnęły go bomby. Po uprzątnięciu rumowiska zrównano teren, wyłożono płytami chodnikowymi i obsiano trawą. Dziś nikt by nie zgadł, że w tym właśnie miejscu prosperowała słynna „Gastronomia”, czyli restauracja z barem i kawiarnią, jedna z największych w Warszawie.

Tryskającą smugami świateł „Gastronomię” widać było z daleka, z placu Trzech Krzyży i z mostu Poniatowskiego. Na szczycie domu jaśniał wieczorami złocisty

neonowy jeleń, a pod jeleniem wyskakiwały co minuta cyferki zegara świetlnego.

Rzućmy okiem na fotografię. W nieistniejącym dziś narożniku (dawniej Nowy Świat 16) mieściły się oprócz „Gastronomii” sklepy, biura i mieszkania prywatne. Warto wymienić skład farb Imrotha i Beckmana, którego klientelę stanowili śródmiejscy malarze pokojowi. Dalej była apteka Towarzystwa Zwolenników Homeopatii, zawsze senna i jak gdyby przytłoczona ogromem normalnej apteki Mutniańskiego, mieszczącej się tuż obok, pod osiemnastym. W podwórzu narożnika mieszkał popularny astrolog warszawski Jan Starża Dzierzbicki, twórca horoskopów, posiadacz cennego zbioru dzieł magicznych, wśród których były takie rarytasy jak „Młot na czarownice” w przekładzie polskim.



Zaraz za ciasnym wylotem ulicy Smolnej stał pałacyk odgradzony od Nowego Świata sztachetami. Mieściła się w nim Ambasada Brytyjska. I oto dochodzimy do bramy domu numer 22.

Dom jak dom, niczym się nie różnił od zwykłych kamienic czynszowych. Ale w podwórzu na parterze warczała maszyna rotacyjna, na pierwszym piętrze była czynna zecernia, a nad zecernią, w jednym tylko pokoju z przedpokojem, we wczesnych latach niepodległości Polski mieściła się redakcja dwu bliźniaczych dzienników: jeden zwał się „Express Poranny”, drugi – „Kurier Czerwony” (ze względu na kolor nagłówka, co było nowością na rynku wydawniczym).

Proszę zwrócić uwagę na szczegóły, że w jednym pokoju z przedpokojem redagowano dwa dzienniki. Pokój był średniej wielkości, stało w nim pięć stołów, kilkanaście krzeseł, szafa i podobny do smukłej jodły wieszak na palta. Łączność ze światem zapewniał goniec Franuś, no i dwa telefony. O maszynie do pisania nikt nie pomyślał, bo i komu to potrzebne?

W tej ciasnocie, w tym huczącym ulu dziennikarskim panował wielki rozmach. Tyle tam było prężności i energii, że dwie nowo narodzone gazety prześcignęły wkrótce prasę warszawską pod względem nakładu oraz szybkości informacji. Tak zwane czerwoniaki opanowały sprzedaż uliczną.

W czymże się krył sekret powodzenia? Myślę, że w temperamencie dziennikarskim Henryka Butkiewicza, naczelnego redaktora „Kuriera Czerwonego”, w uporze i zimnej krwi Jerzego Plewińskiego, który redagował „Express Poranny”, w zdolnościach administracyjnych Antoniego Lewandowskiego. Jedno jest pewne, że ci trzej wspólnicy umieli dobierać współpracowników, umieli wyławiać talenty pisarskie. W pogoni za dobrym piórem nie żalowali zaliczek, nie żalowali słów zachęty i, jeśli zaszła potrzeba, prowadzili kandydata na pół czarnej z koniakiem. Dokąd? Oczywiście do „Gastronomii”, która była tuż-tuż, pod ręką.

Dość wspomnieć, że kronikę miejską opracowywał w „Expressie Porannym” młody Kazimierz Wierzyński. Albowiem wszelkie wzmianki agencyjne i komunikaty magistrackie były gruntownie przerabiane. Redaktor Butkiewicz nie uznawał nożyczek i kleju, cała gazeta musiała być napisana „własnymi słowami”. Jeszcze dziś pamiętam jeden z tytułów poety Wierzyńskiego do notatki o szczęśliwym stłumieniu pożaru:

STRATA NIEWIELKA  
SPALIŁA SIĘ BELKA

Warto przypomnieć kilka nazwisk, dzięki którym obie gazety stały się niezwykle żywe i łatwe w czytaniu. Migawki z życia wielkomiejskiego pisywał Roman Zrębowski, zawsze wytworny w słowie i dla całego świata życzliwy. Zastępcą Jerzego Plewińskiego był Feliks Kuczkowski, erudyta, zaskakujący redakcję i Warszawę oryginalnością pomysłów. Recenzje literackie i teatralne nadsyłał przez uroczystą kucharkę Jan Lorentowicz; osobiście rzadko się zjawiał, nie lubił hałasu i redakcyjnego zamętu. Kronikę gospodarczą i kulturalną opracowywał Leszek Makulski. Tak zwane szlagiery na pierwszą stronę robił Stanisław Paciorkowski. Sprawy bieżące omawiała świetna dziennikarka Jadwiga Krawczyńska. O damskich modach i kłopotach zabawnie pisała Janina Oryńzyna (dziś w Cepelii). Nowiny polityczne przynosił z sejmu Tadeusz Garzdecki. Tytuły na trzy i cztery szpalty rozstawiał z niespotykaną w innych gazetach fantazją artysta malarz Władysław Waroczewski. Sprawozdania z wyścigów konnych, pisane z zawadiackim humorem, przynosił Aleksander Powojczyk.

Taka była czołówka „czerwoniaków”. Składała się z ludzi rozmiłowanych w żywej polszczyźnie, w żartach słownych, w kalamburach, co się odbijało na sposobie redagowania obu gazet.

W imię prawdy lepiej nie ukrywać, że dużą rolę w rozwoju tych wydawnictw odegrała wyobrażona na fotografii „Gastronomia”. Jeżeli redakcja mogła zmieścić się w jednym pokoiku przy pięciu stolikach, to tylko dzięki temu, że część zespołu redakcyjnego siedziała w „Gastronomii”, gdzie stolików i krzeseł było ile dusza zapragnie. Nikt się też nie dziwił, kiedy do jasno oświetlonej restauracji wpadał umorusany farbą drukarską goniec i wywijając odbitką szcztokową wołał:

– Pan metrapaź Zych prosi o cztery wiersze petitu, bo mu wyskoczył bękart pod tytułem!